91 XIV



Widok na dzielnicę handlową w Yasunde — Kamerun.

DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POZNAŃ, 15 CZERWCA 1937 NR 19

WIATR

Wiatr chodzi koło domu, maca palcami po ścianach
Aż drżą wewnętrznym dreszczem — jak pod dotknięciem śmierci
Żałobna pieśń monotonna, senna i obłąkana
Skowytem rzęzi w kominie i jękiem w uszach wierci.

Wiatr chodzi koło domu. — Podstępny obłąkaniem
Cienkimi paznokciami podważa okiennice
I czeka aż nadejdzie umówionym wezwaniem
Tajemny znak poświstem przez zmartwiałą ulicę.

Chwila ciszy (krew tętni w napęczniałych tętnicach).
Aż raptem gdzieś drzwi wrzasły zatrzaśnięte z łoskotem
I nagle . . . — Krwawe cienie latają po ulicach,
Tańczą białe latarnie trzepotliwym chybotem.

I w samo niebo wali tuman kurzawym piaskiem.
I skądś — nagłym wybuchem długo tłumionej mocy
Wyzwala się szaleństwo rozchichotanym wrzaskiem,
Wyciem wdławionym w ciemność dusznej, skłębionej nocy.

Przeraźliwa melodia łka obłędem i śmiechem,
Parne, duszne powietrze pcha się do drzwi i okien,
Żar przenika do wnętrza palącym, zgrzanym dechem . . .
Ścichło. — Oto w poszumie słychać dalekie kroki.

Ktoś biegnie. — Kroki tętnią zgubione wśród przestrzeni
Kroki coraz to bliższe, głuche, niepokojące . . .
(Na zbladłych w mroku szybach tłumy skaczących cieni,
W ciemności wali serce ciężkim rytmem tętniące.)

Kroki już grzmią po dachu, zmieszane z wiatru rykiem
Biją w gonty piętami w tańcu corazto szybszym
Zanoszą się pląsaniem, rytmem rwanym i dzikim. —
Dom cały drży i jęczy rozchybotany w wichrze.

Z głębi nocy porwanej w strzępy trzasków i dźwięków
Wypływa głuchy trójgłos z mrocznej, czarnej oddali
Przejmujący do kości w drgającym, długim jęku:
Fabryczne syreny wyją. Na pomoc! W mieście się pali!

Halina Łuczyńska.

Przed pomnikiem Serca Jezusa w Poznaniu jednoczyć się będą w dn. od 25-VI do 29-VI br. przedstawiciele Międzynarodowego Kongresu Chrystusa Króla, by wypowiedzieć zdecydowaną walkę bezbożnictwu i obmyślić środki ku zbudowaniu Królestwa Chrystusowego wśród narodów i państw.



Pomnik Serca Jezusowego w Poznaniu.

Ogród szczęśliwości

To jest właśnie postęp — wobec kamieni, roślin i zwierząt, owa możność i potrzeba psychiki człowieka wobec świata. Możność i potrzeba zachwytu! To jest zapewne podobieństwo człowieka do Boga.

Ani głaz, ani drzewo, ani ryba nie odczuwają wobec rzeczywistości wzruszenia, jakie przynależy duchowi człowieczemu — wzruszenia estetycznego. Nie słyszałem też nigdy o słoniu wpatrującym się w estetycznej kontemplacji w piękno pejzażu.

Każda forma bytowania na kuli ziemskiej odnosi się do świata jako do źródła zaspokojeń praktycznych. Tylko człowiek zdolny jest patrzeć na przyrodę bezinteresownie w sensie praktycznym.

Powietrzna błękitność dalekiego łańcucha gór, wyrafinowany rytm konarów drzewa, wzruszająca delikatność budowy kwiatu, czar niewysłowiony gwiezdnego nieba nocy, upajający urok płynącej wody, liście, motyle, szlachetne kamienie, śpiew ptactwa, obłoki, słońce, jednym słowem woda, ziemia, ogień i powietrze jest jedynie dla człowieka zespołem, który go upaja czymś co nazywamy pięknem.

Piękno przyrody, to dar, jakiego wartość ocenia jedynie człowiek.

I dlatego ci ludzie, którzy mijają przyrodę, widząc w niej tylko magazyn żywnościowy — są rodzajem degeneratów, są istotami cofającymi się w rozwoju na stopnie niższe — zwierzęce. To krowie przystoi widzieć w łące potrawę dla zaspokojenia głodu. To tygrysowi wypada patrzeć na gazellę, jako na obfite danie mięsne.

Człowiek zachowujący się wobec przyrody jak tygrys i krowa jest czymś gorszym od nich, bo posiadając duszę ludzką, plugawi ją.

Kiedy kamień odpada ze zbocza skalistego wierchu i zabija człowieka, nie ma w tym zbrodni, ale kiedy jeden

człowiek zabija drugiego, to to jest haniebna okropność.

Człowiek powołany jest ku istnieniu nie po to, aby zdolności swego mózgu używał ku spotęgowaniu zaspokojeń cielesności w jej niższych potrzebach, ale po to, aby swego ducha uskrzydlał ku wyższym i dalszym lotom.

Zdolność do o d c z u w a n i a radości estetycznej, do p i ę k n a p r z y r o d y jest pierwszym zapewnieniem, że te loty wysokie i dalekie są mu przeznaczone.

Zdolność do t w o r z e n i a p i ę k n a s z t u k i jest drugą pod tym względem rękojmią.

Nadeszły oto miesiące ciepła, miesiące rozkwitu roślin, nadeszła pora roku, w której przyroda w całej pełni działa na nas swoją krasą.. Nadeszła pora, kiedy możemy się odwrócić na pewien czas od uroków sztuki, aby odżywiać duszę urokami przyrody.

Dzieła sztuki nauczyły nas, że nietylko to jest coś warte, co się da zjeść i wypić, co się daje obrócić na pożytek ciała. Przyroda dzięki sztuce objawi nam się jako czarodziejski teatr widzeń, woni i tonów. Odnajdziemy w jej świecie piękno plastyki i muzyki.

Łąki będą dla nas piękne nie ze względu na wydajność paszy, a lasy ze względu na pożywność grzybów i możność zaspokojenia potrzeb opałowych czy budowlanych.

Dzięki przykładowi sztuki przestaniemy patrzeć na przyrodę okiem tylko myśliwego, rolnika, wojskowego, przemysłowca czy inżyniera.

Będziemy na przyrodę, dzięki obcowaniu ze sztuką, patrzyli jako na ŚWIAT PIĘKNA, świat kształtów, barw, woni, świateł, ruchów i dźwięków.

Góry czy rzeki będą nas odżywiały duchowo!

Zrozumiemy, że świat jest zamącony przez grzech pierworodny, ale nie jest przezeń przekreślony. Pojmiemy najgłębszą głębią ducha, że cielesne to nie grzeszne, bo ciało jest naczyniem ducha, że przyroda jest dziełem Boga.

Zrozumiemy, że Raj jako Ogród Szczęśliwości ma swoje wzruszające znaczenie miejsca, w którym duch ludzki kontemplował Piękno Boga objawionego w Naturze. I przyprowadzeni przez Sztukę za rękę odnajdziemy w Przyrodzie ślady owego Ogrodu Boskiego. Wspiąwszy się na palce ujrzymy ponad skrzydłami anioła strzegącego progów Raju Utraconego, sylwety jego drzew i czar jego obłoków.

A kiedy wytrzebimy z serc pod działaniem Piękna Przyrody, wszystko, co jest w tych sercach, nędzne, okrutne, głupie, płytkie, ciasne, brzydkie, zabierzemy ze sobą z powrotem do



Morze.

ogrodu tygrysy i hieny, które już nie będą krwiożercze i przekroczymy progi, za które wygnał nas pociąg do złego.

Piękno, jakie dostrzegamy w Przyrodzie, to wspomnienie doskonałości i tęsknota ku niej. Kontemplacja tego piękna — to bierna strona wspomnienia i tęsknoty, a tworzenie piękna w sztuce — to strona czynna.

T. Cieślewski, Syn.



Drzewa.

NOC

Jaka spokojna noc czerwcowa!
Bezszmernie stoi śpiący bór.
księżyc w konary drzew się chowa,
niebo tak czyste — nie ma chmur.

Wokoło wszyscy już zasnęli
i w cichym domu ustał stuk.
Na bór drzemiący — z mojej celi
padł promień światła — srebrny próg.

Na niebie świecą gwiazd latarnie.
a w borze cicho czuwa mrok:
siada na miękki mech i darnie,
wytęża w ciemnię ślepy wzrok.

W czerwcowej nocy całun szary
nad wierzchołkami zawisł drzew.
Pomiędzy pniaki i konary
słowicze trele, cichy śpiew.

Przekradły do mnie się z oddali
i płyną wciąż w melodii tchnień.
Kędyś psa wycie mi się żali —
wokoło milczy nocy cień.

Tylko rechocząą żaby w stawie
i świerszcz coś gada. skrzekliwy mruk.
Nad gwiezdnym płaszczem tak łaskawie
czuwa potężny. wielki Bóg.

Wiesław Pyrek.



Morze.

Ch. U. R.

Przed domem grupa robotników. Rozprawiają wesoło, przyjaźnie.

Jest wieczór. Sobota.

Po znojnym tygodniu zebrali się tu, by pogwarzyć w braterskim kole, podzielić się myślami, które na dnie serca osiadły, jak pył z terkoczących warsztatów. Czarne to myśli.

Za tydzień skończy się robota przy zwożeniu ziemi — co dalej będzie? Co dalej? W fabryce drutu straszą obniżką płacy. Fajansiarze strajkują drugi tydzień i nie wywalczyli nic. Socjaliści chodzą i zbierają robotników, coś z nimi radzą. Komuniści obiecują, przeciągają na swoją stronę. Chrześcijański Związek Robotniczy wystąpił do Inspektoratu Pracy, w obronie fajansiarzy — nie obiecuje, nie mami, ale swoje robi. Czy jednak wywalczy sprawiedliwą płacę?

— Trza iść!

— Już? Prawda! 15 po siódmej.

Grupa robotników topnieje przed domem, znika wewnątrz.

W dużej, ale nieco ciemnej sali zaczyna brakować miejsc. Wszystkie zajęte. Siedzą starzy i młodzi, siedzą kobiety z dziećmi, których w domu zostawić nie mogły bez opieki.

Na podium, za stołem, ukazuje się wysoka postać księdza prezesa. Oczy wszystkich stają się ciepłe, usta uśmiechają się. Widać, że proste, serdeczne współżycie w organizacji zawiązało między nim a nimi stosunek wzajemnej życzliwości, zaufania i miłości. Stanowią jedną, robotniczą rodzinę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków. Amen. — odpowiada gromadnie chór.

— Cześć pracy!

— Pracy cześć!

— My chcemy Boga — intonuje ksiądz.

— My chcemy Boga, Panno święta — podchwytuje chór mieszanych głosów.

Rozpoczyna się zebranie Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego. Po odśpiewanej zwrotce pieśni następuje wykład. Robotnicy słuchają z uwagą. Niejeden rozłożył zeszyt na czapce i notuje co ważniejsze słowa. Inni słuchają, zapisują tylko w pamięci i wiążą w całość usłyszane wiadomości. A ciekawe rzeczy mówi wykładowca. Dziś tłumaczy układ kalendarza, mówi o ruchu ziemi dookoła słońca; obnosi wielki globus wokół lampy i wykonuje nim ruch obrotowy ziemi dookoła osi. Wykład żywy, jasny, można go słuchać z największym zainteresowaniem. Po wykładzie dyskusja. Pada tylko kilka pytań, bo co tu gadać o astronomii? Taki temat mało zapala robotników. Za to gdy wykład dotyka kwestii społecznych — o, wtedy rozwiązują się języki i końca nie ma dyskusji.

Następnie krótki reportaż prasowy. O socjalistach w Polsce, o komunizmie we Francji. Odezwa Stalina do młodzieży sowieckiej. Wiadomości z „Prawdy" sowieckiej o szerzącym się łapownictwie w Rosji. Do tego reportażu nie trzeba wyjaśnień, fakty mówią same za siebie. Chrześcijańscy robotnicy wiedzą, że oni reprezentują najbardziej pozytywny kierunek społeczny. Tamci chcą rewolucji, chcą burzyć, krzyczą „precz!" — oni, chrześcijańscy robotnicy, chcą budować. Nie tylko chcą. Oni zbudują nowy ustrój społeczny w myśl encyklik papieskich, ustrój oparty na sprawiedliwości, przeniknięty na wskroś miłością chrześcijańską.

Na razie trwa praca od podstaw, zdobywanie wiedzy katolicko - społecznej, poznawanie błędów przeciwnika, organizowanie wysiłku w kierunku zdobycia własnego lokalu, skonsolidowanie się wewnętrzne. „Święto człowieka pracującego" — 15 maja, w rocznicę wydanie encykliki Rerum Novarum, jest rewią sił robotniczych zebranych pod sztandarem Chrystusowym.

Święto co roku wypada wspanialej, bo związek zdobywa coraz więcej członków, mężnieje, krzepnie, dąży do skoncentrowania w sobie całego ruchu robotniczego. Wyciąga swoją czarną, spracowaną dłoń do inteligencji, chce razem z nią tworzyć sprawiedliwy ustrój Chrystusowego jutra. I musi zwyciężyć, bo opiera się na prawdzie.

Zebranie skończone.

Jeszcze jedna zwrotka „My chcemy Boga" i krótkie, ale wymowne pożegnanie:

— Cześć pracy!

— Pracy cześć!

M. Bonifacja Wernerówna.

List z Anglii

Wakacje, Karawany. On the broads

(Korespondencja własna — „Dziś i Jutro")

Letnie wywczasy, — holi - days — słusznie zwane „dniami świątecznymi" — nastały w pełnym znaczeniu tego słowa na całej wyspie Albionu, jak długa i szeroka.

Od trzydziestu lat bowiem, bo od roku 1905, nie pamiętają Anglosasi podobnie upalnego lata z prażącymi promieniami słońca.

Wobec niebywałego stanu rzeczy z obłaskawionym klimatem — nawet takie zrównoważone istoty ludzkie, jakimi są naogół synowie Albionu — zostały wytrącone z równowagi. Ważniejszą dziś stała się sprawa dokąd pojechać, czym pojechać i na jak długo? — niż wszelkie fascynujące i niepokojące wieści z szerokiego świata, niż wszystkie zapadające jeszcze przed kanikułami uchwały na widowni parlamentu.

Trudno! Lato jest krótkie, a takie jak obecnie zdarza się na zamglonej wyspie raz na 25 lat! Trzeba korzystać! „Brilliant - season", — innymi słowami — sezon w stolicy nad Tamizą — dobiega końca! Już po wszystkich (narazie...) wyścigach, turniejach, meczach międzynarodowych, wystawach i galowych przedstawieniach w teatrach. Kto żyw, a zdrów opuszcza rozpalone mury miejskie i przenosi się na łono przyrody.

Przepiękna jest Anglia, wzdłuż i wszerz we wszystkich kierunkach i szerokościach! A w każdej swej części inna i bardziej pociągająca! Czy to w południowej z łagodnym klimatem, mając ze wszystkich stron na zalowanie morze, oraz szeroko rozrzucone zalane słońcem plaże, począwszy od luksusowych, gdzie życie bije wielkomiejskim tętnem, a kończąc na skromnych, przykucniętych na wybrzeżach, gdzie się wstaje i idzie spać



Pejzaż z Kanady. Góry, wodospad.



Angielskie księżniczki we własnym domku, w parku Windsor, na wakacjach.

ze wschodem i zachodem słońca. Oto najbardziej na południe wysunęte hr. Cornwall, Devon, Dorset, Kent itd. A dalej w głąb kraju przepyszne tło przyrody zmienia się niby w kalejdoskopie w coraz to inny porywający krajobraz. Szeroko rozrzucone, wiecznie bujne pastwiska, przez nikogo nie pilnowane stada kędzierzawych owiec, to znowu olbrzymie, starannie konserwowane lasy historyczne i rozlewne, porosłe trzciną jeziora. Oto hr. Warwick, Leicester, Nottingham, Norfolk itd.

Aż wreszcie ku północy, przecinając wyspę w kierunku Szkocji, przyroda staje się coraz bardziej dziką i niedostępną: strome urwiska, nagie skały, pędzące z zawrotną szybkością górskie strumyki lub znowu ciągnące się przez długie kilometry, wiecznie zielone i zwodnicze trzęsawiska (hrabstwo Yorku i północna Walia), aż wreszcie wspaniała i dzika Szkocja! Klimat ostry, zmienny, lecz zdrowy. Tak, jest z czego wybierać!

I gdyby wyjrzało się w tej chwili, przypuśćmy z samolotu, na te szerokie drogi — wstęgi, wijące się we wszystkich kierunkach Anglii — ujrzałoby się na nich istny pochód ludzi obojga płci, rozmaitego wieku i klas społecznych. Tłumna, zorganizowana wspaniale wyprawa w dżungle lasów, na szczyty gór, na środek rozlewnych jezior, na piach nadmorski, wyprawa po najcenniejsze runo dla człowieka: po zapas zdrowia na zimę. Wyprawa piesza i kołowa.

Młodzież zamożniejsza, urzędnicy lepiej płatni, oficerowie na wywczasach — pojadą we własnych autach; skauci, szkoły, kadeci — pójdą piechotą z plecakami i namiotami; samotnicy — wybiorą rowery; z hałasem i warczeniem wyminą ich szczęśliwi posiadacze motorów; olbrzymie, jak arki Noego autobusy popełzną wolno wypchane po brzegi wycieczkowiczami, a co krok spotkać można iście cygańskie karawany: poprzyczepiane do aut wagoniki - sypialnie.

Najmodniejszy, to i pono najtańszy dziś sposób spędzania wakacyj! Wagon-domek, urządzony wewnątrz z podziwu godną praktycznością, mogący służyć na zawołanie za kuchenkę, jadalnię czy pokój sypialny, zaopatrzony przezornie w rozmaite piecyki elektryczne, akumulatory, lampy oraz przy-

rządy podróżnicze. Wynajmowany po cenach przystępnych, zaopatrzony w prowianty i przyczepiony do wozu automobilowego wiezie pod dachem swym liczną, niekoniecznie zamożną rodzinę na uciechy sielsko-anielskie. Wędrówka na przełaj, przed siebie, kędy oczy poniosą, nie licząc się z czasem, miejscem i okolicznościami.

Każde — dziś — jest inne od wczoraj, a wrażenia i przygody sypią się, jak z rogu obfitości!

Karawany albo domy pływające — jachty o najdziwaczniejszej budowie urządzone również z pomysłową praktycznością, wynajmowane na tydzień czy miesiąc na przystani każdego większego jeziora lub rzeki — stanowią również rozkoszny odpoczynek, zwany tu „on the broads" — to znaczy na „na brzegu" na wodzie!

Ważną rzeczą jest umieć odpocząć, aby móc później wydajnie pracować! I nigdzie chyba nie postarano się, nie wykalkulowano tego odpoczynku tak praktycznie, a zarazem racjonalnie jak w Anglii!

Hanna Skarbek.

Trzy eviva!

Na dworze gorąco! ale lepiej, niż wczoraj, bo wczoraj było sirocco, gorący, suchy wiatr, który niósł w usta, w nos, w oczy, subtelny pył i sprawiał, że człowiek od rana do wieczora był spocony jak? (podobno jak mysz, ale nie wiem, czemu się tak mówi). Otóż nieraz sobie tu myślę, jak to dobrze, że tym żywym, entuzjastycznym Włochom dała Opatrzność aż trzy „głowy". Mogą przynajmniej wyładować swój temperament w owacjach.

Najpierw — to było jeszcze niedługo po mym przyjeździe. Pewnego pięknego popołudnia lutowego, jadę tramwajem. Nagle huk armat! Tramwaj staje! Robi się ruch radosny, ludzie są nagle wszyscy jacyś sobie bliscy i znajomi. To wiadomość z Neapolu, że żona następcy tronu powiła królewskiego wnuka! (a to już tradycja, że musiał się urodzić w Neapolu). W ciągu kilku minut tramwaj już udekorowany chorągiewkami jedzie dalej. Na domach na gwałt rozwieszają trójbarwne chorągwie! Wieczorem czytamy depesze — depesze Ojca św., depesze „Il duce" itd.

Rano jadę autobusem do S. Pietro. Wszyscy z płachtami gazet. Oglądają fotografie szczęśliwej matki z niemowlęciem. Nagle mój sąsiad krzyczy: „4 kilo! Waży cztery kilo". Nie wytrzymał z radości! Już cały autobus wie, że mały, bezimienny jeszcze „ktoś" ma 4 kilo!

Na wszystkich ulicach plakaty głoszą radość Italii! Po paru dniach moje małe sąsiadeczki w tramwaju wyliczają sobie 12 imion tego kogoś: „Wiktor, Emanuel, Humbert, January, Maria" itd. naprawdę, spamiętać trudno, a każde imię ma jakąś rację i tradycję!

A ja — ja cieszę się także, bo wszystkie dzieci właśnie, które są rówieśnikami królewskiego wnuka, dostają sporą kwotę złożoną w Banku, a ten, kto jest rówieśnikiem co do godziny, jeszcze więcej, niż inne dostanie. Tak często są to biedacy! Eviva!

— — — — — — —

Wielkanoc. Wyruszam z domu przed 6-ą rano, by trafić na jakąś cichą mszę św. w kościele obok Watykanu, a potem już przed siódmą staję w tłumie, coraz liczniej gromadzącym się na olbrzymim, pięknym placu przed S. Piętro. Ojciec Święty ma być na mszy św. — początek o 10½, ale, wobec tego, że S. Pietro może pomieścić 80 tysięcy i że napewno tyleż będzie kandydatów na wejście do wnętrza, trzeba być zawczasu. Mamy bi-

lety na trybuny w absydzie. Zapewniają nas, że miejsca dobre, bo jest uwaga, że: „panowie — we frakach z białym krawatem, panie — na czarno, w welonach."

Tłum coraz niecierpliwiej naciera na malowniczo-barwny kordon gwardii honorowej. Wreszcie z biciem ósmej godziny kordon pęka — fala ludzka prze pędem naprzód! Kłus, prawdziwy kłus poważnych dam i panów! Robi mi sie okropnie wesoło na ten widok!

Docieram wreszcie i ja na swą trybunę. Jestem w absydzie, o kilkanaście kroków od tronu papieskiego. Już o 8-ej kościół pełen, a ciągle jeszcze ktoś wchodzi. Obok mnie grupa Amerykanów lornetuje urządzenia — krytykuję, że stopnie tronu papieskiego wysłane czerwonym suknem, a nie aksamitem... to stanowczo za ubogo!

Wśród tłumów snuje się straż honorowa w stylowych strojach z XVII wieku. Kościół pełen ludzi, ale jest jakaś powaga, jakiś nastrój wzruszonego oczekiwania. Przecież, wobec tak niedawnej choroby Ojca Świętego, niejeden nie miał już nadziei zobaczenia Go więcej. Więc panowie we frakach i panie „velatae" i dziewczynki całe w bieli, jak do pierwszej Komunii św., i całe szeregi członków ciał dyplomatycznych itd. itd. czekają z napięciem.

Wreszcie z dali słychać odgłosy trąb. Tłum faluje. Daleko, daleko (bo kościół olbrzymi!) majaczą pióropusze wachlarzy, niesionych obok lektyki. Huczy „Eviva"! Dobrych kilka minut czekamy, by „Il Papa" ukazał się tu, pośród nas. Wreszcie jest! Przede mną jakiś bardzo poważny, starszy pan, składa i rozkłada ze wzruszeniem ręce na piersiach. Patrzy przez łzy i szepcze: „Jest, jest". Obok mnie elegancka Amerykanka protestantka, jak sądzę z całego jej zachowania podczas nabożeństwa, ociera oczy. I ja też szukam gwałtownie pod nogami czegoś, czego nie zgubiłam, bo czuję, że mam oczy mokre!

Teraz nasza część kościoła huczy potężnym „Eviva! Eviva il Papa! Il Papa! Eviva!" — Nie, takiego Eviva nie słyszałam jeszcze nigdy w życiu! To nie tylko entuzjazm tłumu, to coś głębokiego! pełniejszego! coś tak powszechnego, jak ten „katolicki" tłum — wszelkie języki (tylko obok mnie — kilka języków słyszę), twarze białe i żółte i czarne. Naturalnie, najwięcej Włochów — to zrozumiałe.

A potem jeszcze „Eviva", gdy biały Ojciec Święty ukazuje się w loggii i błogosławi przeszło dwustutysięcznym tłumom, oczekującym na placu św. Piotra. Nie każdy, z tych czy innych powodów — mógł być we wnętrzu — więc tu czeka. Niemilknące, serdecznie radosne Eviva! Czapki, ręce w górę! Tłumy, tłumy!

— — — — — — —

9 maj. Plakaty głoszą od jakiegoś czasu uroczystości z powodu pierwszej rocznicy „Del Impero". Pociągi nadzwyczajne przywożą z gorącej Sycylii i z żyznej Lombardii i ze wszystkich Umbrii i Kalabrii itd. tłumy ludzi. Na ulicach snują się żołnierze Abisyńczycy, Somalowie, nieco jaśniejsi mieszkańcy Tunisu i Tripolisu. To „Il Duce" sprowadził ich tylko — 10 tysięcy — dla uświetnienia uroczystości. Abisyńczycy są prześliczni! (w swoim rodzaju) co za budowa smukła, jakie twarze o często delikatnych rysach! Wymyślono dla tych dzieci gorącej Afryki malownicze stroje: na głowie coś, jakby wysoka, czerwona doniczka do góry dnem obrócona — z rzemykiem do przytrzymywania (n. b. niejeden, zamiast na tył głowy zakłada rzemyk na czoło, bo tak mu wygodniej!) Na „doniczkach" pompony wszelkich możliwych i niemożliwych jaskrawych kolorów, oraz godła rodzaju broni wyszyte dla łatwego „odczytania" — więc karabiny, armaty itp.

Z tymi kolorowymi obywatelami Imperium Rzymianie rozmawiają, wypytują ich, radzą przy zakupach itd. N. b. kolorowi mówią już całkiem nie najgorzej po włosku i dają sobie świetnie radę. Oblegają, jak plaga, wszystkie tramwaje i autobusy. Przez parę pierwszych dni konduktorzy żądali od nich kupienia biletu, ale kolorowi goście Rzymu oświadczyli, że płacić nie będą — i wobec tego jeździli już stale gratis.

Czasem widać, że biedacy nie przyzwyczajeni do obuwia, bo maszerowali sobie po ulicach (ba, nawet w czasie rewii 9. V.) z — sandałami w ręku.

Rozwiodłam się nad naszymi kolorowymi gośćmi, ale każdy, kto był tu w tym czasie, przyzna, że przez parę tygodni nadawali oni jakieś specjalne piętno miastu.

9 maj. Już parę dni przed tym trudno się przedostać ulicami, taki tłok i tyle trybun stawiają tam, kędy ma iść pochód. A w niedzielę, 9. V. budzenie w koszarach, obok których mieszkam, o 1-ej w nocy.

Tłumy... tłum oblepił trybuny, ulice, wszystkie drzewa (tak, dosłownie, drzewa!) na szeregu ulic.

A potem, karnie, rzeźko idą w słońcu szeregi. Zachwyt wzbudzały wszystkie oddziały egzotyczne! A wielbłądy! Było na co patrzeć! O dwunastej skończyła się rewia.

„Il duce" miał swój wielki dzień — swe entuzjastyczne Eviva! Eviva — które było wyrazem świadomości narodowej i patriotyzmu tych, których swą mocną ręką prowadzi do wielkości i potęgi!

A teraz — na zakończenie — anegdotka: ponoć jakaś bardzo patriotyczna babula nazwała swe dzieci: Italia, Victoria i Benito. Gdy ją pytano o dzieci, okazało się, że „Italia wciąż płacze, Victoria ciągle śpi — a Benito rej wodzi"... *J. S.*

LIST

Niedługo — zaraz pewnie — przyjdzie list, czekamy
Tak długo. Niecierpliwie patrzę na zegarek;
Wskazówki wolno wloką się, — nie widać zmiany. —
...Koperta, ożywiona jasną plamą marek...

Już ktoś idzie po schodach. O, tak! Słyszę kroki! —
Powolne, ciężkie, jakby stąpały po sercu...
Ten odgłos równomierny brzmi w ciszy głębokiej
Oczekiwania, jak grzmot. Wprost w duszę się wwierca.

Dzwonek. — Ktoś drzwi otwiera. Zdaje się tak długa
Ostatnia chwila, kiedy jeszcze wciąż się czeka.
A potem z drzwi otwartych pada światła smuga
I — jest! Jest upragniony, drogi list z daleka!

Dziunia Kociubińska.

Tu mówi Londyn...

Maj dla wielu milionów istot ludzkich żyjących w świecie cywilizowanym przeszedł pod znakiem koronacji króla Jerzego VI i królowej Elżbiety w Anglii.

Białe stronice pism codziennych pokryły się nieskończenie długimi rzędami czarnych znaczków, a z pośród wierszy druku przezierały wspaniałe obrazy uroczystości londyńskich.

Pisma ilustrowane zapełniły się portretami i fotografiami. Aparaty radiowe w wielkich miastach i na głuchej prowincji przemawiały głosem speakerów londyńskich, a o określonej godzinie cierpliwie radiosłuchacze całego świata „asystowali" ceremonii w opactwie Westminsterskim i pierwszemu oficjalnemu przemówieniu nowego monarchy z pałacu Buckingham.

Jedni patrzyli, inni — słuchali z odległych zakątków globu ziemskiego. A każdy reagował inaczej.

Sześcioletnia królewna Małgorzata Róża raz po raz podobno ciągnęła delikatnie za rękaw kogoś z najbliższego otoczenia, małym paluszkiem wskazując osoby czy przedmioty wzbudzające w niej podziw lub zaciekawienie.

Starsza jej siostrzyczka, jedenastoletnia następczyni tronu, królewna Elżbieta, strofowała ją i uciszała gestem pełnym zgorszenia i zrozumienia powagi chwili.

Starsi skupieni i poważni, niektórzy wzruszeni.

Bo ich, dorosłych Anglików, do opactwa Westminsterskiego przywiodły nietylko snobizm i ciekawość. Dla nich uroczystość ta była nietylko rewią wspaniałych uniformów i toalet. Te godziny, te chwile miały swój wielki sens i wymowę.

Podobno dzisiejsza królowa-matka Mary, uczestnicząca ongiś w charakterze księżnej Walii w uroczystościach koronacyjnych Edwarda VII, na pytanie jednego z obecnych, o czym myślała podczas ceremonii, — odpowiedziała: „O tym wszystkim, co ona oznacza: o przeszłości". Bo czymże w gruncie rzeczy jest sam akt koronacji? Symbolem długich stuleci, które wytworzyły angielską rasę, angielską kulturę i ustrój społeczno - polityczny.

Religijny charakter koronacji przypominać ma królowi i narodowi o istnieniu Potęgi najwyższej, silniejszej ponad monarchów i moce ziemskie. Jednocześnie zaś przywodzi na pamięć całemu narodowi szczytne cele, do jakich został stworzony, i wielki obowiązek, wymagający bezwzględnego opanowania ludzkiej natury, instynktu egoistycznego, uczuć indywidualnych — dla dobra powszechnego i dla państwa.

Może przypadek prosty zadecydował o tym, że już przed laty akt koronacji przeniesiono z Winchester do opactwa. Westminster leży w głównym dziś ośrodku przemysłowym Anglii, a wobec wybitnie przemysłowo-handlowego charakteru Zjednoczonego Królestwa — zbieg okoliczności urasta do pewnego rodzaju symbolu.

Swoją drogą, Anglia jest przedziwnym krajem, krajem jaskrawych kontrastów.

Monarchia na silnych fundamentach tradycyj historycznych oparta, monarchia „z łaski Bożej", król rządzący 400 milionami poddanych — i najliberalniejsza na świecie demokracja, pełne swobody obywateli. Demokracja zdyscyplinowana i rządna.

Ogromne przywiązanie do zwyczajów i tradycyj dawnych, stroje historyczne w wystąpieniach urzędowych — i największa postępowość w życiu gospodarczym i społeczno-politycznym.

Szalone tempo XX wieku w handlu i przemyśle, wybitne znaczenie warstwy robotniczej — i najwyższa arystokracja ducha, dużo z charakteru feudalno-średniowiecznego mająca.

Bo Anglia posiada przedziwny dar: umie śmiało kroczyć naprzód z teraźniejszością, — utrzymując jednocześnie bardzo silną więź duchową ze swą wielką przeszłością historyczną. Idąc naprzód, nic poza sobą nie niszczy całkowicie. Odrzuca tylko kolejno z przeszłości te szczegóły, które są już zbędne, które nie dadzą się w życiu współczesnym zastosować. Na ich miejsce wprowadza stopniowo nowe uzupełnienia i poprawki, przeszłości nie burząc, ale ją unowocześniając.

Z dawno przeżytych form feudalizmu średniowiecznego naprzykład od-

rzucono kolejno wszystko, — do dziś dnia pozostało jedno, zasada bardzo głęboko w duszy Anglików tkwiąca. Zasada „noblesse oblige" — tak bardzo obca nowoczesnej plutokracji — przeświadczenie, że ci, co z największych przywilejów korzystają, największe też mają obowiązki. I zasada „gentlemanerii", będąca punktem honoru każdego Anglika, bez względu na jego pochodzenie i przynależność do warstwy społecznej.

Uroczystość koronacji w każdym szczególe zasady te przypomina. Król przyjmuje władzę swą od Boga, — by sprawować ją dla dobra narodu. Miecz i złote ostrogi, które arcybiskup Canterbury podaje nowemu monarsze, złożone są przedtem na ołtarzu, — i przypominają wielkie i szczytne ideały, w służbie których walczyli rycerze średniowieczni.

Pierścień złoty włożony na palec króla mówi o zaślubinach jego z całym narodem.

Klejnoty zdobiące koronę pochodzą z najdalszych krańców Imperium, symbolizując ścisły związek dominiów i kolonij z krajem macierzystym.

Stroje, płaszcze koronacyjne — to wszystko ma swoją wymowę.

Szczególne jednak znaczenie symboliczne posiada krzesło tronowe, pochodzące z czasów Edwarda I. (ur. 1298). Na tle przeróżnych wspaniałych akcesoriów koronacyjnych, w blasku klejnotów i przepychu drogich futer — jakże dziwnie wygląda ten prosty mebel dębowy, zasadniczo do skromnego stołka kuchennego podobny. Ozdobiono go wprawdzie później, ale prostota kształtów i materiału aż nazbyt się uwydatnia. Nie mówię już nawet obszerniej o umieszczonym w nim t. zw. „kamieniu losu", w którym bez względu na zupełnie zdecydowaną opinię uczonych geologów lud angielski widzi wezgłowie biblijnego Jakuba, śniącego o drabinie anielskiej, — jakkolwiek ten szczegół również wymownie charakteryzuje umiłowanie legend i świata fantazji przez „trzeźwych" Anglików. Wracam do charakteru owego prymitywnego krzesła tronowego. Czy to nie najlepszy symbol psychiki angielskiej — całej Anglii? Tej wspaniałej monarchii, najbogatszego Imperium świata, związanego tak bardzo silnie więzami serca z prostotą dawnych tradycji; i najpotężniejszego władcy, — silnie zżytego z szarymi bezimiennymi masami milionów obywateli? A w oczach Anglików — krzesło tronowe to symbol arystokracji ducha, arystokracji tak wysokiej, że może pogardzać blaskiem i wspaniałością pozorów zewnętrznych.

Anglia zaś — to kraj prawdziwych arystokratów ducha, prawdziwych gentlemanów.

W takim kraju właśnie może być mowa o prawdziwej demokracji, demokracji wyrosłej nie z walk krwawych o prawa polityczne obywateli, o interes jednostek czy grup społecznych — lecz z podłoża głębokiego poszanowania tradycyj historycznych i zrozumienia potrzeb chwili bieżącej.

W niektórych pismach — oczywiście nieangielskich — spotkać się można było z krytyką nadmiernego przepychu pochodu koronacyjnego, boleśnie kontrastującego z nędzą wielu milionów ludzi współczesnych.

Czy tylko umiłowaniem tradycji można wspaniałość tę wytłumaczyć?

W oczach Anglików stanowczo nie. W ich mniemaniu było to nie tylko potrzebne, ale konieczne. Konieczne ze względu na zagranicę: niech olśni ją blask potęgi Imperium. I konieczne dla ludu angielskiego: niech zobaczy zbliska swego króla i królową tak właśnie, jak ich widzi w marzeniach swoich wyrosłych z legend i baśni o królach i królewiczach. Niech ich zobaczy w purpurze i złocie, w blasku klejnotów — swego własnego króla i królową — prawdziwych. A później niech usłyszy obietnice zawarte w słowach przysięgi koronacyjnej i prze-

mówienia nowego króla, — a uwierzy niezachwianie w realizację tych obietnic, w moc opieki nad biednymi i opuszczonymi, w siłę utrzymania w kraju sprawiedliwości i pokoju.

Z wiary tej wyrośnie pełne zaufanie, szacunek i miłość do władcy. A tu właśnie leży tajemnica demokratycznej monarchii angielskiej.

Maria Traczewska.

Nawojka, pierwsza studentka polska

(P o w i e ś ć) (Ciąg dalszy)

Pewno o nowych psich figlach rozmyśla na utrapienie nasze. Oj, inni to akademicy drzewiej, za moich czasów bywali, gdy nam panował, Panie świeć nad jego duszą, król Kazimierz... Bo i lepsze czasy były. Karność, poszanowanie względem starszych, prawdziwe miłowanie wiedzy istniało jeszcze wśród uczniów. A teraz... Pożal się, Panie Boże... Widział kto kiedy za moich czasów studenta inaczej niż przy nauce? Do winiarni ani kijem byś go nie zapędził.

Ale stary Albertus nie przytakiwał narzekaniom medyka. Złożył na krzyż swoje wyschłe ręce, a w wyblakłych oczach mignęło coś jakby zbożny zachwyt, gdy patrzył na te jasne i ciemne głowy żakowskie. I zwiędnięte usta wyszeptały cicho, tak cicho, że go nawet nie usłyszał siedzący obok gość:

...Młodość, ach ta piękna młodość.

— — — — — — —

Najtrudniej przedstawiało się dla Nawojki zdobycie codziennego posiłku. Ledwo błysnął nad wysokimi murami Krakowa blady ranek, już żacy opuszczali bursy i niczem fala wiślana zalewali wąskie uliczki. Pobrzękiwały tylko małe garnuszki mocno trzymane w dłoniach a o kamienice obijały się piosenki, którymi scholarze prosili mieszczan o pożywienie:

„Anno, matko Matki Boskiej,
Nie racz gardzić prośby mojej...

Słowa pobożnej pieśni wywabiały na progi domów gospodynie w szerokich spódnicach i rozłożystych czepcach. A za plecami pani pojawiała się dziewka służebna, dźwigająca sagan pełen jadła, do którego biegły spojrzenia zgłodniałych studentów. Jezu, jaki dzisiaj żur wyśmienity w kotle i kawały kiełbasy w nim też pływają! Takie wzdychania przerywały wywodzenia nabożne. Niejedna też pani Łukaszowa czy Marcinowa, zacna przekupka z pod Sukiennic, wsuwała w zamorusaną łapkę żaczka słodziutką bułkę lub kromkę chleba. „Na, pożyw się nieboże"...

Tak więc scholarze, którzy oddawna studiowali i orientowali się w mieście, mieli zapewniony posiłek, ale nowicjusz tułał się bezradnie po tym labiryncie ofiarności ludzkiej.

Stanęła sobie oto biedota pokornie przed drzwiami i zanuciła pobożnie, a tu wypada służebna i krzyczy, żeby poszedł precz, bo godzina dawania przeminęła. Znów w drugiej kamienicy rugnęła go srodze jejmość sama pani: „A nie wiesz ty, urwisie, że u nas w poniedziałki żaki nie przychodzą, tylko we wtorki?" Zaś najgorzej wychodził nowicjusz, gdy stawał pospołu z żakami innej bursy. Wtedy posiniaczony, z rozbitym garnuszkiem wylatywał z gromady, a za nim biegły jeszcze pogróżki: „Domostwo medyka Samuela naszym jest, bursy z ulicy Wiślnej, a ty wracaj do swoich!"

Wszystkie przykrości nowicjuszowskie oszczędzone były początkowo Nawojce, gdy kupowała sobie jadło za własne pieniądze. Gorąco też pragnęła, aby Marcin ze Spiża korzystał z jej bogactw, ale Ślązak zaoponował stanowczo. Nie, dukaty należą niepodziel-

nie do przyjaciela, a Marcin da sobie sam znakomicie radę. Tyle czasu już przepędził w Krakowie... Jednak nawet te pieniądze, za które ongiś myślała Nawojka, że cały świat kupić można, rozeszły się po paru tygodniach niespodziewanie prędko. Acha, teraz przypomina sobie Nawojka, że dała małemu Tomkowi z Gniezdna na kupno tuniki, bo mu stary topieniak w bójce srodze potargali i zapłakiwał się po kątach, a i kilka poczęstunków u Albertusa pochłonęło sporo grosza. Trudno, trzeba było po magnackim życiu za własne pieniądze zrzucić pychę z serca i zapukać do domów mieszczańskich. Nieśmiało spogląda Nawojka na grupę chłopców, wyczekujących pod drzwiami. Jakże chętnie przyłączyłaby się do nich, ale z groźnych min wyraźnie można wyczytać: Spróbuj tylko się zbliżyć...

Oho, za dobrze pamięta jeszcze Nawojka razy otrząsania, więc idzie dalej. Ale wszędzie domostwa oblepia czerń tunik stałych bywalców, którzy jako te wróble obsiedli progi i ani pomyślą by dopuścić do swego grona nowego, co tak cicho stoi w pobliżu... Wreszcie po długiej wędrówce przywlokła się zmęczona Nawojka przed gmach klasztorny.

Przed furtą znajdowało się kilku żaków, którym rozdzielał zupę wysoki braciszek w habicie. Nawojka wmieszała się do gromadki niepewna, jak ją tu przyjmą. Ale grupa czekających składała się z tak jak i ona wylęknionych nowicjuszy, którzy nie rzekli słowa na przybycie jeszcze jednego żaka. Braciszek zaczerpnął olbrzymią warząchnią z kotła i napełnił garnuszek głodnej dziewczyny, mrucząc przytem niewyraźnie: „Zmów jeden „Ojcze nasz" i „Zdrowaś" na intencję klasztoru".

Odtąd przychodziła Nawojka codziennie przed furtę klasztorną, ale chude krupniczki braciszków nie zaspakajały bynajmniej jej głodu. Przymusowy post zaczął się odbijać mocna na jej zdrowiu. Przybladły, poszarzały rumiane policzki i nawet zniknął pierwotny zapał do pracy. Marcin niespokojnie przypatrywał się posmutniałej twarzy towarzysza, aż wreszcie odkrył prawdę.

„Taki z ciebie druh, że w trosce nie zwierzysz się przyjacielowi?" narzekał zagniewany. „Wszak złożyliśmy sobie ślubowanie przyjaźni nie tylko w dobrej, ale i w złej doli. Już ty się nie turbuj o jadło, moja w tym głowa i frasunek".

Rzeczywiście zaraz po rannej nauce, poszedł Marcin z przyjacielem na miasto. Przed okazałą kamienicą na ulicy Grodzkiej, ozdobionej rzeźbą lwa, objaśnił Nawojce, że tutaj mieszka mieszczanin Kalthebring, którego żona oddawna gościnnie przyjmuje Marcina. Z pewnością nie poskąpi jejmość Anna tej odrobiny strawy Nawojowi, zwłaszcza, że wywodzi się z tego samego miasta Dobrzynia. Aż zatrzęsła się Nawojka usłyszawszy taką nowinę. Ciotka Anna! Więc za chwilę poznają kim jest rzekomy student... Powoli jednak spokój wracał do strwożonego serca. Ciotka Anna widziała ją ostatni raz ot tycim skrzatem, plątającym się krok w krok za piastunką. Nie poznają...

Na podwórze wyszła roześmiana dziewczyna w barwnej sukni w kwiaty. To córka Jachna — szturchnął Marcin Nawojkę i razem głośno pochwalili Boga.

H. Muszyńska.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redakcja żegna Was na ten najmilszy oczekiwany okres wypoczynku letniego i życzy Wam całym sercem

wesołych i zdrowych wakacyj!

O jednym warto pamiętać: te dwa miesiące wzmożonej swobody mają wykazać otoczeniu zdobyte przez Was dotąd wartości duchowe i umysłowe, mają być wyrazem Waszej kultury wewnętrznej!



Sprostowanie z Nr. 18: na okładce pod ilustracją winno być zam. Melhoffer — Mehoffer; na str. 280, piąty wiersz od góry zam. poloniases — polonaises; na str. 284 przy 117 kl. II winno być dodane — Warszawa; na str. 287 u dołu zam. marie — Marie.

Pielgrzymka Akademicka na Jasną Górę odbyła się 27 maja.

Rozwiązanie z Nr. 17

Bilety wizytowe: 1. Stolarz. 2. Introligator.

Uszkodzony rękopis:

„Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr co w polu lata,
Jak ten wiart co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi
W ciemną mroczną dal".

TREŚĆ N-RU 19:

Od redakcji

Ewa Miratyńska Gimn. 440, kl. IV. Zamieszczając Twoją odezwę do redakcji, zaznaczyłam na wstępie, że podaję ją z „niewielkimi zmianami w układzie" — sama się może orientujesz, że to było konieczne.

Prawo „redaktorskiego ołówka" zastrzegam sobie zazwyczaj nie tylko w stosunku do uczenic ale nawet w stosunku do dorosłych, przygotowanych do pracy dziennikarskiej, autorów.

Po tym wyjaśnieniu, sądzę, że się zrozumiemy. B. się cieszę z Twego zapału do pióra i chętnie będę Ci służyła wskazówkami w miarę nadsyłanych prac.

Serdecznie Cię pozdrawiam!

Galanteria naszych przodków

Przepisujemy z oryginału list z XVII w. p. Rocha Rogala Kozerskiego, pisany z oświadczeniem do wdowy po roieczniku inflantskim, a malujący dosadnie i ludzi i styl tych czasów. List brzmi nast.:

„Wielmożna mnie wielce Mościa Dobrodziejko!

Gdy potylokrotne moje z osobistości komparacyje i verbalne merita w procedurze matrymonialnej konjunkcyji i u kratek trybunału serca W. Pani Dobrodziejki deponowane nie odebrały dotąd z melodyjnych ust Jej pożądanej repliki, umyśliłem więc, wstrzymywany na akcesoryjach wezwać na konferencyję sympatyczne sentymenta i adoracyje moje dla persony, resplendującej inkorporowanemi w niej perfekcyjami i uczynić literalną manifestacyją affektu ferworu i zelozyji, które w pektoralnych latifundyjach mojich od tak dawna wysiadują supersesyją na rzecz W. Pani Dobrodziejki.

— — — — — — — — — — — — — — — —

W expektatywie zaś fortunnego perswazyji mojich sukcessu, paląc aromatyczny serca holokaust przed ołtarzem afrodyzyjalnych wdzięków W. M. Pani Dobrodziejki i prosternując facyjatę moją u jej piedestałów submituję powolne służby moje z głębokim respektem i akkomodacyją, gotów na rozkazy W. Pani Dobrodziejki genuflektujący adorator i uniżony sługa".

1688 r. Warta. Roch Rogala Kozerski.

Gdy deszcz będzie padał w czasie wakacyj i... nudy zaczną was atakować — przełóżcie to na język współczesny!

Warunki prenumeraty: rocznie 5 zł (za granicą 7 zł). — Numer pojedyńczy 30 gr. — Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930. — Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska. Red. odpow. i wydawca: Jadwiga Bahr. — Adres redakcji: Warszawa, Łowicka 31. — Administracji: Pokrzywno, p. Krzesiny. — Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna Poznań, św. Marcin 70.